

Yukio
Mishima

Wyznanie maski

przełożyła Beata Kubiak Ho-Chi

ROZDZIAŁ I

Przez długie lata byłem przekonany, że widziałem scenę własnych narodzin. Za każdym razem, gdy o tym mówiłem, dorośli śmiali się, lecz po chwili, podejrzewając, że stroję sobie z nich żarty, spoglądali wzrokiem z lekka zabarwionym wrogością na bladą twarz dziecka, które tak mało przypominało inne dzieci. Czasami, gdy zdarzyło mi się poruszyć ten temat przy gościach, którzy nie należeli do naszych bliskich znajomych, babka z obawy, że wezmą mnie za idiotę, ucinała rozmowę i ostrym tonem mówiła, żebym poszedł bawić się gdzie indziej.

Dorośli, z uśmiechem na ustach, najczęściej starali się mnie przekonać argumentami naukowymi. Z reguły tłumaczyli mi z nienaturalną gorliwością, używając przy tym słów łatwo zrozumiałych dla dziecka, że przecież w chwili narodzin niemowlę nie ma otwartych oczu, a nawet gdyby przypadkiem miało, to wrażenia, które wtedy odbiera, nie są wystarczająco silne, by mogły pozostać w pamięci. „No co, chyba się z tym zgadzasz?” — potrząsali moim małym ramieniem, obawiając się, że mogę jeszcze coś podejrzewać. Wyglądali przy tym, jakby w tej właśnie chwili uzmysłowili sobie, że o mało co nie wpadli w sieć mojej intrygi. Dzieci są

naprawdę przebiegłe. Ani chybi, ten mały spryciarz stara się podstępnie skierować rozmowę na „te sprawy”. Za chwilę może zapytać z jeszcze bardziej rozbijającą niewinnością: „A którędy przyszedłem na świat? Jak ja się urodziłem?”. W rezultacie na nowo przyglądali mi się w milczeniu, z zimnym, niewyraźnym uśmiechem, który mówił, że — z przyczyn całkowicie dla mnie niezrozumiałych — czuli się głęboko dotknięci.

Dręczyli się jednak niepotrzebnie. Ja przecież nie miałem najmniejszego zamiaru wypytywać ich o „te sprawy.” A nawet gdybym miał, to tak bardzo obawiałem się, że mógłbym zranić ich uczucia, że nawet przez myśl mi nie przeszło, by zastawiać na nich pułapkę.

Pomimo ich perswazji i szyderstw, i tak byłem przekonany, że widziałem własne narodziny. Być może, usłyszałem o tym od kogoś, kto był przy nich obecny. Możliwe też, że był to owoc mojej wybujałej wyobraźni. Pewny byłem jednego — na własne oczy widziałem obrzeże balii, w której kąpano mnie po raz pierwszy. Nowiutka balia zrobiona była z gładkiego, świeżego drewna. Leżąc w wodzie, widziałem jej brzeg, oświetlony delikatnymi promieniami słońca. Drewno błyszczało w tym jednym miejscu i wyglądało jak pozlacane. Kiedy woda falowała, jej drżące języki sprawiały wrażenie, jakby chciały to miejsce polizać, lecz im się to nie udawało. I bądź to na skutek odbicia światła, a może dlatego, że promienie docierały do wnętrza balii, woda poniżej brzegu połyskiwała łagodnie, a drobne, lśniące grupki fal zdawały się uderzać jedna o drugą.

Najmocniejszym argumentem podważającym wiarygodność mojego wspomnienia był fakt, że nie przyszedłem na świat za dnia. Urodziłem się o dziewiątej

wieczorem. Nie mogły to być zatem promienie słoneczne. I choć dorośli przekomarzali się ze mną, że może było to światło elektryczne, to ja bez większego trudu uczepiłem się niedorzecznej myśli, że nawet jeśli był to środek nocy, to i tak to jedno jedyne miejsce na obrzeżu balii było oświetlone promieniami słońca. Tym to sposobem brzeg balii z drgającym lekko światłem utkwił w mojej pamięci jako coś, co na pewno widziałem podczas mej pierwszej kąpieli.

Urodziłem się dwa lata po trzęsieniu ziemi².

Dziesięć lat wcześniej, w związku ze skandalem, który wydarzył się, kiedy mój dziadek pełnił funkcję generalnego gubernatora kolonii³ — wziął wtedy na siebie winę za podwładnego i zmuszony był podać się do dymisji (naprawdę nie przesadzę, jeśli powiem, że do tej pory nie spotkałem drugiego człowieka, który miałby tak bezgraniczne, idiotyczne wręcz zaufanie do ludzi, jak mój dziadek) — nasza rodzina zaczęła szybko podupadać, zachowując się przy tym zupełnie niefrasobliwie. Olbrzymie długi, konfiskaty ziemi, wyprzedaż majątku, a wraz z narastającymi trudnościami finansowymi mroczna skłonność do chorobliwej wręcz pychy. W związku z tą sytuacją przyszedłem na świat w starym wynajmowanym domu, stojącym na rogu ulicy w nie najlepszej dzielnicy miasta. Był to obskurny, ponury, wyniosły budynek, skonstruowany w sposób dość skomplikowany. Z przodu stała imponująca żelazna brama, za nią znajdował się frontowy ogród, następnie salon w stylu europejskim, duży jak wnętrze podmiejskiej świątyni. Gdy się patrzyło z góry, dom ten wyglądał jakby był parterowy, z dołu natomiast — piętrowy.

Było w nim wiele ciemnych pokoi i sześcioro służących. W sumie razem z nimi, moim dziadkiem, babką, ojcem i matką dziesięć osób co wieczór kładło się spać i co rano wstawało w tym skrzypiącym jak stara komoda domu.

Powodem naszych rodzinnych zgryzot była namiętność do interesów, jaką przejawiał dziadek, oraz choroba i rozrzutność babki. Mój dziadek, wciągany przez wątpliwych przyjaciół w przeróżne interesy, często wyjeżdżał daleko, snując marzenia o wielkich pieniądzach. Babka natomiast pochodziła ze starego rodu, nie lubiła dziadka i gardziła nim. Była to kobieta uparta i zawzięta, o szalonej, trochę romantycznej duszy. Chroniczne bóle głowy szarpały jej nerwy podstępnie i nieustannie, przydając jednocześnie jej umysłowi bezużytecznej jasności. Kto wie, czy ataki furii, które nawiedzały ją aż do śmierci, nie były pamiątką po grzesznej młodości dziadka⁴.

Do takiego to właśnie domu mój ojciec wprowadził swoją śliczną i delikatną żonę — moją matkę.

Rankiem czternastego dnia pierwszego miesiąca czternastego roku ery Taishō⁵ matka poczuła bóle porodowe. O dziewiątej wieczorem urodziło się niewielkie niemowlę ważące dwa kilo sześćset. Siódmego dnia, pod wieczór, noworodka ubrano w bieliznę z flanelki i delikatnego jedwabiu w kolorze kremowym, a na nią nałożono wielobarwne kimono z jedwabnej krepy. Następnie dziadek wypisał moje imię na eleganckim białym papierze, położył go na ofiarnym stoliczku *sanbō*⁶ i umieścił w tokonomie⁷.

Przez długi czas miałem jasne włosy. Ale ściemniały, gdyż często smarowano je oliwką.

Rodzice zajmowali piętro domu. Babka, pod pretekstem, że dziecko nie powinno mieszkać na piętrze ze względu na jego bezpieczeństwo, wyrwała mnie z ramion matki w czterdziestym dziewiątym dniu mojego życia. Dziecięce łóżeczko zostało ustawione w sypialni, obok łóżka chorej babki. Drzwi do sypialni były zawsze zamknięte i panował w niej duszący zapach starości i choroby. Kiedy miałem niecały rok, spadłem z trzeciego stopnia schodów i zraniłem się w czoło. Babka była wtedy w teatrze, więc matka, korzystając z chwili wolności, bawiła się głośno wraz z kuzynami i kuzynkami ojca. W pewnej chwili poszła po coś na górę, a ja, drepzcząc za nią, wplątałem się w tył jej kimona i upadłem.

Wysłano wiadomość do teatru kabuki. Babka wróciła do domu. Opierając się na trzymanej w prawej ręce lasce, stanęła w progu i utkwiała nieruchome spojrzenie w ojcu, który wyszedł jej na spotkanie. Jej głos był dziwnie spokojny, kiedy przemówiła, cedząc słowa:

— Nie żyje?

— Żyje...

Wtedy weszła do domu pewnym krokiem, jak kapłanka *miko*⁸...

Rankiem w dzień Nowego Roku niedługo przed moimi czwartymi urodzinami zwymiotowałem coś, co przypominało swoim kolorem kawę. Lekarz rodzinny nie był pewien, czy przeżyję. Zrobiono mi tyle zastrzyków z kamfory i glukozy, że wyglądałem jak poduszeczka do igieł. Przez ponad dwie godziny puls w nadgarstku i na szyi był niewyczuwalny. Uznali mnie za zmarłego.

Przygotowano całun, przyniesiono moje ulubione zabawki i zwołano całą rodzinę. Minęło znów około godziny i wtedy pojawił się mocz. Brat matki, który był

lekarzem, powiedział, że będę żył. Pojawienie się moczu miało według niego oznaczać, że akcja serca została wznowiona. Po chwili znów pojawił się mocz i moje policzki zabarwiły się słabym kolorem życia.

Choroba ta, zwana autointoksykacją, stała się chroniczna. Nawiedzała mnie raz w miesiącu, w lżejszej bądź cięższej postaci. Przeszedłem niezliczoną liczbę ataków. Po symptomach zbliżającej się choroby nauczyłem się rozpoznawać, jak bardzo atak przybliżył mnie do śmierci.

Pierwsze wspomnienie, którego dziwnie wyrazisty obraz pojawia się uporczywie w moich myślach, pochodzi właśnie z tego okresu.

Nie wiem, kto prowadził mnie za rękę — może to była matka, może opiekunka, służąca, a może ciotka? Porę roku również trudno mi sobie uprzytomnić. Popołudniowe słońce rzucało przyćmione światło na domy rozrzucone na wzgórzu. Trzymany za rękę przez tę kobietę o nieznanym twarzy, szedłem pod górę drogą prowadzącą do domu. Ponieważ z naprzeciwka ktoś schodził w dół, kobieta szarpnęła mnie mocno za rękę i zatrzymała się na skraju drogi, aby pozwolić mu przejść.

Nie ulega wątpliwości, że obraz ten przywoływany i powtarzany w moich myślach miliony razy, umacniał się i skupiał na sobie całą uwagę, nabierając za każdym razem nowego znaczenia. Bowiem w scenie, której kontury są zamazane, jedynie postać Tego Który Schodzi w Dół pojawia się z nieuzasadnioną wyrazistością. I nie ma w tym nic dziwnego, gdyż był to właśnie pierwszy niezapomniany obraz, który dręczył mnie i przez całe życie napawał lękiem.

Ze wzgórza schodził młody człowiek. Na ramionach niósł drąg z umocowanymi na obu jego końcach naczyniami, które wypełniały nieczystości. Z brudną szmatą przepasaną wokół głowy, ładnie zaczerwienionymi policzkami i błyszczącymi oczyma szedł w naszym kierunku, rozkładając ciężar ładunku na obie nogi. Był to *owaiya* — czyściciel kloak, człowiek zajmujący się wybieraniem ekskrementów. Na nogach miał szmaciane robocze buty na gumowej podeszwie i granatowe obcisłe kalessony. Wpatrywałem się w niego niezwykle przenikliwym jak na czteroletniego chłopca wzrokiem. Nie wiedziałem jeszcze dokładnie, co to znaczy, lecz z pewnością było to odkrycie jakiejś mocy; wzywał mnie mroczny i tajemniczy głos. To, że moc ta objawiła się pod postacią czyściciela kloak, jest alegoryczne, ponieważ ekskrementy są symbolem ziemi, a nie ma wątpliwości, że wzywała mnie właśnie złowieszcza miłość Matki Ziemi.

Ogarnęło mnie wtedy przeczucie, że istnieje na tym świecie pragnienie podobne do palącego bólu. Kiedy tak patrzyłem na tego brudnego młodego mężczyznę, zawładnęła mną nieodparta myśl: „Chciałbym się nim stać! Ja chcę nim być!”. Przypominam sobie dokładnie, że pragnienie to łączyło się z dwiema rzeczami. Pierwszą z nich były te granatowe kalessony, drugą — jego zajęcie. Granatowe obcisłe kalessony wyraźnie uwidaczały dolną połowę jego ciała. Poruszała się ona giętko i sprawiała wrażenie, jakby szła w moim kierunku. Zrodził się wtedy we mnie niewysłowiony podziw dla tych kalessonów. Nie miałem pojęcia dlaczego.

Jego zajęcie... Dokładnie tak jak każde dziecko, które osiągnąjąc wiek rozumny, chce zostać generałem, ja

w tamtej właśnie chwili zapragnąłem zostać czyścicielem kloak. Można przyjąć, że źródłem tego pragnienia były granatowe kalesony, ale nie należy ograniczać się wyłącznie do nich. Pragnienie to umacniało się we mnie samo, ewoluowało, aż nabrało własnego, szczególnego charakteru.

Na myśl o tym zawodzie czułem coś w rodzaju przenikliwego żalu, tęsknoty, która rozdziera serce. Poprzez ten zawód odczuwałem tragiczność w najbardziej zmysłowym tego słowa znaczeniu. Kojarzył mi się z jakimś poświęceniem, nonszalancją, z bliskością niebezpieczeństwa, z cudownym melanzem nicości i siły witalnej. Wszystkie te odczucia przelewały się przeze mnie, wywierały presję, aż uczyniły z małego, czteroletniego chłopca swojego zakładnika. Być może myliłem się co do istoty profesji czyściciela kloak. Możliwe, że usłyszałem coś na temat innego zawodu i zmyłony przynależnym mu strojem, mimowolnie przypisałem jego cechy czyścicielowi kloak. To jest chyba jedyne wytłumaczenie.

Taaak, tak właśnie musiało być, bo niedługo potem te same emocje przenieśliem na konduktorów ukwieconych kolorowych tramwajów *hanadensha*⁹ i na pracowników metra, dziurkujących bilety przy wejściu. Na ich widok odczuwałem mocno ich „tragiczne życie”, którego nie znałem i z którego, jak mi się wydawało, byłem na zawsze wykluczony. Szczególnie zapach gumy i mięty, unoszący się w tamtych czasach w metrze, w połączeniu z widokiem rzędów złotych guzików na piersiach mężczyzn w błękitnych uniformach, którzy dziurkowali bilety, pobudzał skojarzenia z „rzeczami tragicznymi”. Z niewiadomej przyczyny wydawało

mi się czymś „tragicznym” wieść życie wśród takiego zapachu. Miejsca, których pragnąłem wszystkimi zmysłami, a do których nie miałem dostępu, życie, które toczyło się poza mną, wydarzenia i ludzie z nimi związani — to wszystko składało się na moją definicję „rzeczy tragicznych”. Rozpacz, że jestem z tego wszystkiego na zawsze wykluczony, nieustannie przeobrażała się w moich marzeniach w żal nad ich egzystencją i poprzez moje własne cierpienie starałem się brać bolesny udział w ich „tragicznym bycie”.

Tak więc to, co odczuwałem jako „rzeczy tragiczne”, stanowiło być może jedynie projekcję mego żalu, spowodowanego instynktownym przeczuciem, że nigdy nie będę do ich świata należał.

Mam jeszcze jedno wspomnienie z wczesnego dzieciństwa.

Nauczyłem się pisać i czytać w wieku pięciu lat. Tej książki z obrazkami nie umiałem jednak przeczytać, więc musiałem mieć wtedy cztery lata.

Spośród wielu książek z obrazkami tylko ta jedna, a właściwie tylko jedna jej ilustracja przyciągnęła moją uwagę i zrobiła na mnie wyjątkowe wrażenie. Kiedy się w nią wpatrywałem, zapominałem o długich, nudnych popołudniach, lecz gdy tylko ktoś nadchodził, budziło się we mnie poczucie winy i szybko przewracałem kartkę na drugą stronę. Zaczęła mi przeszkadzać opieka pielęgniarki czy służącej. Myślałem sobie, że mógłbym tak spędzić całe życie, dzień za dniem, wpatrując się w tę jedną ilustrację. Gdy otwierałem książkę na tej właśnie stronie, serce zaczynało walić mi w piersiach, choć inne strony zupełnie mnie nie interesowały.

Ilustracja przedstawiała siedzącego na białym koniu rycerza, z mieczem uniesionym nad głową. Koń, z rozdętymi nozdrzami, wzbijał tumany kurzu mocnymi przednimi kopytami. Na srebrnej rycerskiej zbroi widniał przepiękny herb. Przez wizjer wyzierała piękna twarz rycerza, który groźnie wymachiwał obnażonym mieczem w kierunku błękitnego nieba, jak gdyby chciał zmierzyć się ze śmiercią lub inną złowieszczą siłą. Byłem przekonany, że w następnym momencie zostanie zabity i że, jeśli szybko przewrócę kartkę, ujrzę ilustrację z nieżywym rycerzem. Jak gdyby istniał sposób na to, by obrazki z książki zmieniały się w jednej chwili w „następny moment”...

Ale pewnego dnia pielęgniarka udało się jakoś otworzyć książkę na tej właśnie stronie i kiedy ukradkiem przyglądałem się jej z boku, usłyszałem:

— Zna panicz tę historię?

— Nie...

— Ten człowiek wygląda na mężczyznę, prawda? Ale to kobieta. Naprawdę. To jest opowieść o kobiecie, Joannie d’Arc, która poszła na wojnę bronić swego kraju w przebraniu mężczyzny.

— Kobieta?!

Poczułem się zdruzgotany. Osoba, o której myślałem jako o „nim”, była „nią”. Jak to możliwe, że ten piękny rycerz był kobietą? (Do dziś mam wyjątkową, niewytłumaczalną awersję do kobiet w męskim stroju). Było to coś w rodzaju pierwszej w życiu „zemsty rzeczywistości”, z którą miałem do czynienia i która wydała mi się okrutna, szczególnie w stosunku do słodkich myśli, jakie snułem na temat śmierci rycerza.

Wiele lat później odkryłem gloryfikację śmierci pięknego rycerza w wierszu Oscara Wilde’a:

*Piękny ten rycerz, co leży zabity
W trzcinach i oczeretach...*

Od tamtego wydarzenia nie zwracałem już na tę książkę najmniejszej uwagi. Nie brałem jej nawet do ręki.

Huysmans w powieści *Lá-bas* studiuje postać Gilles'a de Rais, członka straży przybocznej Joanny d'Arc z rozkazu króla Karola VII. Miał się on „wkrótce zmienić i dopuścić się okrucieństw najbardziej wyrafinowanych i zbrodni najdoskonalszych”, ale pierwszym impulsem dla jego mistycyzmu były liczne niewiarygodne cuda, dokonane na jego oczach przez Joannę d'Arc. Choć wpływ, jaki Dziewica Orleańska wywarła na mnie, był przeciwny (obudziła we mnie uczucie wstrętu), to jednak odegrała dużą rolę w moim życiu.

I jeszcze jedno wspomnienie.

Zapach potu. Zapach, który mnie porywał, rozbu-
dzał moje pragnienia i miał nade mną władzę. Nad-
stawiam uszu i słyszę coś w rodzaju głuchego, lekkiego
skrzypienia, które brzmi jak groźba. Czasami dołącza
do niego dźwięk trąbki, przybliża się odgłos pieśni, za-
dziwiająco prostej i rzewnej. Trzymam za rękę służą-
cą, ponaglam ją, szybciej, szybciej, jak szalony pragnę
się znaleźć przy bramie, na jej rękach. Przed naszym
domem przechodził oddział żołnierzy, wracających
z manewrów. Żołnierze lubią dzieci i zawsze cieszyłem
się, kiedy dostawałem od nich łuski po nabojach. Bab-
ka mówiła, że to niebezpieczne i zakazała mi przyj-
mowania takich prezentów, dlatego też moja radość
miała w sobie posmak tajemnicy. Ciężki odgłos żołnier-
skich butów, pobrudzone mundury i las karabinów na